

Sajgon-Hanoi na rowerach

Przeciętnemu Polakowi Wietnam kojarzy się wyłącznie z wojną, w której Amerykanie "dostali w kość" oraz z azjatyckim jedzeniem serwowanym w ulicznych budkach. Przy bliższym zainteresowaniu się tym krajem okazuje się, że nie wiemy o Wietnamie i Wietnamczykach prawie nic.

Kraj ten ma wspaniałą historię, pełną cesarskich tronów, dostatku oraz oczywiście wojen, które toczyły się latami. Ostatnia z nich, której efektem jest zjednoczenie Wietnamu, dała jego mieszkańcom powód do dumy - okazali się jednym z nielicznych narodów, który potrafił przeciwstawić się potędze US ARMY.

Jednak to nie poamerykańskie bunkry i wraki są najciekawsze. Do dziś pozostało w Wietnamie wiele zabytków po starożytnych kulturach, które tam się ścierały. Parędziesiąt mniejszości narodowych, drugie tyle religii, wyznań i sekt (jedna z nich uznała m.in. Winstona Churchilla jako swojego proroka). Na szczęście socjalizm nie zabił tej różnorodności - jest ona w tej chwili tak samo wartościowym "towarem" jak wietnamskie ciuchy.

Istotą naszej wyprawy nie jest żaden wyczyn sportowy, czy chęć pokazania innym, jak dużo kilometrów jesteście w stanie przejechać. Naszym głównym celem jest próba poznania tego kraju, jego kultury i historii. Chcemy się dowiedzieć, co myślą i jak żyją tam zwykli ludzie - szczególnie poza wielkimi miastami. Chcemy "posmakować" azjatyckiego klimatu w wydaniu niezbyt zdeptanym przez turystów.

*Wyruszamy w piątek, 21 marca 2003!
Trzymajcie za nas kciuki :-)*

Przed podróżą

Kiedy wyjeżdżaliśmy do Wietnamu - w Iraku zaczynała się wojna, a w Hanoi była już jedna śmiertelna ofiara tajemniczej choroby SARS. Otrzymaliśmy maila, w którym Ambasador RP w Wietnamie radził nam odłożyć plany wakacyjne na późniejszy czas. Mniej więcej tydzień przed odlotem Aeroflot odwołał rejs wykupiony przez nas na 17 marca 2003. Później okazało się, że w tym czasie mniej więcej rozpoczęły się naloty na Bagdad. Do Wietnamu poleciliśmy kilka dni później. Jeszcze dzień przed wyjazdem nie byliśmy niczego pewni. Gregory, jeden z trójki uczestników, zwrócił bilet do biura podróży przepraszając nas, że jednak nie pojedzie. Po kilku godzinach zmienił zdanie - "Jadę!!!" - oznajmił przez telefon - "Mam nadzieję, że uda się wszystko odkręcić!".

Rodzina i znajomi żegnali nas trochę zmartwieni. My sami, zaopatrzeni w reklamówkę lekarstw i kilkanaście maseczek chirurgicznych, postanowiliśmy nie dać za wygraną i zrealizować planowaną od kilku miesięcy wyprawę. Przed wyjazdem obawialiśmy się tajemniczej choroby, żarłoczych komarów, biegunki i upału. Największym zaskoczeniem jednak okazał się sam Wietnam i ludzie tam mieszkający.

Rowerem po Sajgonie [22-03-2003]

Jesteśmy na miejscu!

Po nocy spędzonej w samolocie, Sajgon - czyli Ho Chi Minh City - wita nas tropikalnym upałem. Powietrze, rozgrzane i ciężkie, nie ułatwia oddychania. W głowie kołaczą się myśli "czy rowery doleciały?" i "czy w takim upale jakikolwiek wysiłek fizyczny wchodzi w grę?!" Mamy za sobą kilkanaście godzin podróży - w planach przejechanie rowerem prawie 2 000 km w 3 tygodnie. Dwoje z naszej trójki jedzie na wyprawę rowerową po raz pierwszy w życiu. Lekko zaniepokojeni widokiem ludzi w maskach na twarzy (SARS!) wychodzimy na świeże powietrze - przed budynek lotniska. Tam, w pełnym słońcu i w towarzystwie ciekawych wszystkiego miejscowych mężczyzn, kobiet, a nawet niemowląt, skręcamy rowery. Lecz to wszystko okazuje się niczym w porównaniu z tym, co się dzieje, kiedy wyjeżdżamy na ulice.

Rower, skutery, riksze

Potoki rowerów, rikszy, skuterów a nawet samochodów toczące się dostojnie we wszystkich możliwych kierunkach. Wietnamczyk jadący motorowerem pod prąd na rondzie i piszący SMS'a, 2 dziewczyny wspólnie pedałuujące na tym samym rowerze, 4-osobowa rodzina plus balonik na skuterze czy para na rowerach trzymająca się za ręce w czasie jazdy - to tylko kilka przykładów typowych scenek ulicznych.

Pod koniec pierwszego dnia już zaczynamy rozumieć, że chaos na ulicach jest pozorny. W tym szaleństwie jest metoda - jednak o tym przekonujemy się w miarę przejeżdżanych kilometrów. Zasadą numer jeden staje się obserwacja miejscowych zwyczajów na drodze połączona z dużą dozą wewnętrznego spokoju.

W drodze do hotelu

Z lotniska ruszamy do centrum w poszukiwaniu noclegu. Po drodze „udaje” nam się przepłacić 10-krotnie za kokosa - może to przez męczący upał, może przez ceny podawane w tysiącach dongów. Sprzedawca jest wyraźnie zadowolony z transakcji, my nie zdajemy sobie jeszcze sprawy z tego, że znaleźliśmy się w kraju, w którym od zawsze obowiązują podwójne ceny: jedne dla Wietnamczyków, inne - znacznie wyższe - dla cudzoziemców. W końcu znajdujemy tani hotelik i ruszamy obejrzeć miasto. Po zachodzie słońca mamy temperaturę 34 C. Chodzimy po ciasnych uliczkach Sajgonu, mijamy pionierów wracających ze szkoły do domu. Siedzimy w kafejce i pijamy pyszną, mocną kawę.

Za nami już 600 km [31-03-2003]

Targowanie

Jesteśmy w Nha Trang. Przejechaliśmy około 600 km. Wietnamczycy są bardzo mili, choć oczywiście niektórzy próbują nas oszukać. Jesteśmy twardzi i targujemy się do upadłego. Kiedy negocjacje dobiegają końca, zwykle pada pytanie: „Skąd jesteście?”. Szacunek dla pieniędzy i

znajomość realiów - tak rozumieją targowanie - budzą uznanie i bywa, że sklepikarze oferują nam w dowód sympatii odpoczynek na plastikowym stołeczku czy filiżankę zielonej herbaty.

Wietnamski wieczór

Po zmierzchu wszystkie ulice wypełniają się straganami z jedzeniem, pamiątkami itp.

Głównym naszym pokarmem jest Pho czyli wietnamski rosół z makaronem. Już mamy go trochę dosyć, ale trudno znaleźć inne danie. Czasem trafi się ryż z warzywami i tofu.

Socjalizm i wolny rynek

Zaskakujący dla nas jest system polityczny który tu panuje - z jednej strony pomniki, flagi z sierpem i młotem, pionierzy w czerwonych chustach, patriotyczne pogadanki puszczone na ulicach przez megafon, a z drugiej strony luksusowe wille, samochody i restauracje, gdzie obiad kosztuje tyle co przeciętna pensja Wietnamczyka. Pieniądze i polityka nie przeszkadzają sobie nawzajem.

Jesteśmy w Qua Ngay [04-04-2003]

Mamy 1000 km na licznikach. Jesteśmy w Qua Ngay, 120 km przed Hoi An. Pogoda jest wyśmienita - słońce, upał i wiatr w oczy i ani kropli deszczu.

Parę słów o ruchu drogowym

Przepisy drogowe są dosyć jednoznaczne - jeśli jedziesz ulicą nie możesz jechać zbyt blisko krawężnika ponieważ przy krawężniku jada ci, którzy jadą pod prąd. Światła na skrzyżowaniu służą tylko po to, aby wzmóc ostrożność. Czerwone wcale nie oznacza, że nie można jechać. Tak samo zielone nie oznacza wcale, że nikt nie wyjedzie z bocznej ulicy. Na większości skrzyżowań ruch odbywa się poprzez umiejętne manewrowanie pomiędzy kilkoma strumieniami rowerów, motorowerów i innych pojazdów.

Poza miastem jedzie się tą stroną drogi, która ma lepszą nawierzchnię. Jeśli chcesz wyminąć ciężarówkę, która wyprzedza autobus, który omija rowerzystów - musisz po prostu uważać, żeby nie wpaść pod ciężarówkę nadjeżdżającą z naprzeciwka pod prąd. Ruch jednak odbywa się bardzo harmonijnie i z dużym poszanowaniem zasady, że jakoś to będzie.

Rowery

Nasze rowery wzbudzają wielkie zainteresowanie Wietnamczyków. Są błyszczące, kolorowe i bardzo - jak na Wietnamczyków - duże. Na jednym z postojów bardzo duże zaciekawienie wzbudziła aluminiowa, niemalowana rama jednego z rowerów. Po chwili rozmowy okazało się, że ludzie których to zainteresowało, pracują w branży metalurgicznej i są właśnie w trakcie załatwiania jakiegoś międzynarodowego interesu.

Chociaż jest to kraj, w którym prawie wszyscy jeżdżą na rowerach - są jednak one zupełnie inne. Wietnamczycy dosiadają pojazdów „z minionej epoki”, tak zardzewiałych, jakby zostały wydobyte z dna morza. Po około 2 tygodniach zauważyliśmy, że wszystkie niealumiowe i niegalwanizowane części i śrubki w naszych rowerach pokryły się rdzą. Sprawcą jest bardzo wilgotne powietrze i słony wiatr od morza.

Hello! Whatsa name?

Podróżując po mniej uczęszczanych drogach Wietnamu jednej rzeczy ma się dosyć... Nie chodzi o upał, pył, mało higieniczne toalety ani komary. Chodzi o "heloooo!" - angielskie powitanie wymawiane z zaczepnym przeciągnięciem. To słowo-klucz zrobiło fenomenalną karierę w Wietnamie i zwykle pada w pierwszej kolejności na widok nie-Wietnamczyka. Odnosimy wrażenie, że nawet niemowlęta potrafią je wymawiać.

Wiejskie maluchy nie przepuszczają nikomu. Obowiązkowe "hello!" każdy usłyszy przynajmniej kilka razy w ciągu dnia. Wieczorem ani nocą - nie ma taryfy ulgowej. Zdarza się, że jedziemy na rowerach w kompletnej ciszy, ciemności, na odludziu - jednak i wtedy dzieci nas rozpoznają. Czasami głos dobiega zza drzew, z wnętrza domu lub po prostu ze środka szczerzego pola. Maluchy są czujne i jak tylko dostrzegają gdzieś nasze sylwetki biegną poinformować o tym swoich krewnych, kolegów i sąsiadów. Czasami, nie na żarty, boimy się, że nasza obecność spowoduje wzrost wypadków na National Road No 1.

Na wyprawowym liczniku ponad 1600 km [11-04-2003]

Jesteśmy w Thai Binh. Odkąd przejechaliśmy przełęcz Hi Van Pass, znajdujemy się w historycznie północnym Wietnamie. Strefę zdemilitaryzowaną (czyli granicę pomiędzy południem a północą w czasie ostatniej wojny) minęliśmy przedwczoraj.

Północny Wietnam różni się bardzo od południowego. Jest zimniej, biedniej, w sklepach jest dużo mniej towaru a ludzie mniej sympatyczni. Na północy nawet kurczaki szybciej uciekają z drogi w obawie przed zjedzeniem.

Wietnamskie drogi

Jazda Drogą Nr 1 to niezapomniane przeżycie. Chaos, huk ciężarówek i klaksonów. Ogłuszające trąbienie tirów to zwykle wyraz sympatii dla nas. Setki rowerzystów i skuterów. Ciężarówki wymijają się i wyprzedzają "na trzeciego", a nawet "na czwartego".

Droga jest dobra - szerokie pobocze oddzielone namalowaną linią, której raczej nie przekraczają samochody. Każdy kierowca jest lub był rowerzystą - stąd duże wyczucie sytuacji. W Wietnamie człowiek na rowerze nie jest intruzem.

Miejscami nawierzchnia jest w trakcie remontu, dzięki czemu mamy prawdziwe "cross country". Na północy sytuacja zdecydowanie się zmienia

- jest mniej samochodów i dlatego nawierzchnia nie jest zniszczona.

Kilka razy musimy kończyć trasę już po zmroku bez świateł - wtedy jedynym punktem orientacyjnym stają się reflektory nadjeżdżających ciężarówek. Na tej szerokości geograficznej ciemność zapada o 18:00.

Napoje

Najciekawszym odkryciem w Wietnamie jest sok z trzciny cukrowej z dodatkiem limonki lub ananasa. Przy drodze stoją specjalne maszyny przypominające wyżymaczkę napędzaną wielkim kołem sterowym, służące do wyciskania soku. Napój ten jest serwowany z kruszonym lodem, ma słodko-kwaśny smak i bardzo dobrze orzeźwia.

Jadąc przez południe Wietnamu delectowaliśmy się pyszną, wietnamską kawą. Jest ona parzona w metalowych sitkach nakładanych na szklanekę. Kawa jest bardzo mocna i bardzo słodka. Wspaniały aromat...

Innym fenomenalnym napojem, który popijają wszyscy Wietnamczycy, jest zielona herbata jaśminowa. Na każdej stacji benzynowej, w każdym sklepie można o nią poprosić. Jest lekka i wspaniale gasi pragnienie. To tradycyjny napój w tym kraju - gdy ktoś Ci zaproponuje herbatę - nie wolno odmówić.

Kolejna ciekawostka - to piwo z beczki. Występuje głównie w Wietnamie północnym. Ma taki smak jakby było rozcieńczone 1:1 z wodą, ale jest tanie i dobre. Znaleźliśmy nawet piwo o nazwie "BIA BA LAN", co oznacza - "Piwo Polska".

Do Hanoi już tylko 100 km! [12-04-2003]

Na liczniku już 1800 km! Jesteśmy w Haiphong - mieście wypadowym na Halong Bay. Jutro zamierzamy opłynąć łódka zatokę, która jest chyba największą atrakcją turystyczną Wietnamu.

Język

Jadąc do Wietnamu myśleliśmy, że znając język angielski, rosyjski i parę słów po francusku, jakoś się dogadamy. Na miejscu nasze przewidywania kompletnie się nie sprawdziły. Większość spotkanych przez nas Wietnamczyków nie mówiła w żadnym, znanym nam języku.

W pewnym momencie uznaliśmy, że łatwiej nam będzie nauczyć się podstawowych zwrotów i liczebników po wietnamsku niż liczyć na znajomość angielskiego u Wietnamczyków.

Jednak nie jest to aż takie proste.

Pomimo, że w Wietnamie używa się alfabetu łacińskiego, to słowa, które dla nas wyglądają tak samo (nie licząc kilku dodatkowych kreseczek) mogą mieć kilka zupełnie różnych znaczeń. Na przykład słowo „ma” w zależności od konfiguracji kreseczek, może oznaczać: duch, matka, który, grobowiec, koń, sadzonka ryżu.

System liczebników jest bardzo prosty. Wystarczy nauczyć się liczb od 1 do 10 oraz 1000 (co jest istotne, ponieważ poniżej 1000 dongów kosztuje tylko mała bułka). W języku wietnamskim „piętnaście”, wymawia się jak „dziesięć pięć”, „dwadzieścia pięć” jak „dwa dziesięć pięć”.

Wielkim zaskoczeniem dla nas jest zupełnie inny system pokazywania liczb na palcach. Ważna jest strona dłoni (wewnętrzna czy zewnętrzna), którą się pokazuje. Sześć palców może oznaczać zarówno „sześć” jak i „piętnaście” jeśli szóstym palcem jest kciuk drugiej dłoni...

Fascynujące jest też rozbijanie słów na sylaby. Prawie wszystkie nazwy geograficzne składają się z co najmniej dwóch członów, nawet dosyć krótkie nazwy jak: Hoi An, Cat Ba, Ca Na. Nikt nie przejmuje się też ortografią obcojęzycznych słów. Najbardziej nas rozbawiły szyldy z napisami - „Pho To Co Pi” czy „Ti Vi”.

Zatoka Halong [13.04.2003]

Zatoka Halong jest miejscem wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Na powierzchni 1500 km² z morza wynurza się ponad 3000 wapiennych wysp-skał.

Halong, tłumaczy się jako „miejsce, gdzie smok schodzi do morza”. Jak głosi legenda, wyspy zostały stworzone przez wielkiego smoka mieszkającego w górach. Kiedy smok szedł w stronę wybrzeża, wrył w ziemi doliny i jary. Kiedy wszedł do morza, poziom wody tak się podniósł, że zalało całą okolicę i zostały tylko wyspy...

Rano ruszamy wodolotem na wyspę Cat Ba. Na miejscu wynajmujemy łódkę i ruszamy na podbój jednej z największych atrakcji turystycznych Wietnamu.

Widoki zapierają nam dech w piersiach. Na tle turkusowej wody i błękitnego nieba bieleją wapienne skały. Odwiedzamy wioski na łodziach i hodowlę pereł. Kąpiemy się w ciepłutkiej wodzie, w pobliżu pięknej piaszczystej plaży. Jednak dostępu do lądu bronią skały porośnięte małżami. Po pierwszej próbie wyjścia na plażę, mam skaleczoną rękę i kolano...

W drodze powrotnej, zabieramy „na stopa” Wietnamkę, która przywiązała swoją łódkę do naszej.

Już w domu! [16.06.2003]

Jesteśmy już w Warszawie. Udało się! Cała trasa przejechana zgodnie z planem. W sumie na liczniku Wyprawy 1970 km przejechanych po ziemi wietnamskiej. Jesteśmy zmęczeni, ale zadowoleni.

Zastanawiały nas zdjęcia w polskich mediach, na których ludzie w Azji noszą na twarzy maski, rzekomo w obawie przed wirusem SARS.

Jak pamiętam z lekcji geografii w szkole podstawowej (15-20 lat temu), ludzie w Azji zakładają na twarz maski, aby chronić się przed kurzem i spalinami. Dodatkowo kobiety osłaniają twarz w ciągu dnia, aby chronić ją przed słońcem. Opalona twarz w Wietnamie niezbitcie świadczy o tym, że jest się wieśniakiem.

Na lotnisku w Hanoi widzieliśmy kilka osób w maskach, ale byli to w większości cudzoziemcy, którzy dopiero co przyjechali do Wietnamu.

POLSKIE AKCENTY W WIETNAMIE

Ku naszemu bardzo zaskoczeniu, natknęliśmy się na kilka polskich akcentów. Najczęściej powtarzającym się były tablice informacyjne o Panu Prof. Kazimierzu Kwiatkowskim z PKZ, który odbudowywał ruiny stolicy cywilizacji Champa w My Son oraz Zakazane Miasto w cesarskiej stolicy Hue.

Kolejna niespodzianka to polska czekolada w wietnamskich sklepach!

Oprócz tego spotkaliśmy kilku Wietnamczyków, którzy na wieść, że jesteśmy Polakami, zaczęli mówić po rosyjsku, bułgarsku itp., a jeden nas kompletnie zaskoczył, kiedy zaczął mówić po polsku.